DZIŚ I JUTRO.



Canal Grande w Wenecji
gdzie odbywały się sławne kuligi na gondolach.

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

ROK VII. KRAKÓW, 15. LUTEGO 1931. NR. 6.

CENA NUMERU POJEDYNCZEGO 80 GROSZY

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

ROK VII. KRAKÓW - 15. LUTEGO 1931. № 6.

NA NARTACH

Był najpierw kurs.

Cóż! ludzie miastowi nie mogą się tak zżyć z zimą jak góralscy chłopcy, którzy ledwo od ziemi odrośli przyczepiają sobie sznurkami deski do nóg i zsuwają się z górek, jak ich rówieśnicy z nizin na sankach. Podpatrują ciekawie starszych swych braci — zawodników — oni, ich doskonali następcy — i nim jeszcze porządnie w szkole litery stawiać poczną, już rysują nartami równe arabeski łuków, suną strzałą, nie rozstawiając nóg w wyśmiewany na wszystkich kursach ceprów tramwaj. Teren uczy ich stosować opory, rwać pęd christjaniami.

Przybysze z dolin muszą zacząć od abecadła. Instruktor pokazał im, jak się one, wygięte dziobem ku górze, elastyczne deski do nóg mocuje rzemieniami więdźby i gdy, po godzinie wysiłków wszystko jako tako było dopasowane, kazał zjeżdżać z górki.

Nastąpiły dni ciężkich wysiłków, kiedy każdy adept narciarskiej sztuki tracił rachunek swych nóg. Stanowczo było ich więcej niż dwie. Pojęcie „prawo" i „lewo" stało się łamigłówką abstrakcyjną, zato faktem czarnym były coraz to liczniejsze siniaki...

Ilość upadków zbliżała się do astronomicznych cyfr.

Aż nastąpiła dla każdej narciarki i dla każdego narciarza radosna chwila, kiedy pojechał tak, jak chciał i skręcił wedle zgóry powziętego planu. Kapryśne narty, dotąd samowolnie niosące na największe nierówności, krzyżujące się, podrywające nogi, przyczyny wszystkich upadków, jakby zmieniły swą naturę. Posłuszne przerzucanemu z nogi na nogę ciężarowi, jęły skręcać w „łuki" coraz prawidłowsze, dawały się hamować „oporem" przykładnie łączyły swe dzioby w „pług".

Przestały być zawadą, niezrozumiałem utrudnieniem, a stały się posłusznym towarzyszem, lekko niosącym przez śnieżne puchy, ślizgającym się po powierzchni niezbrodzonych zasp. Ułatwiały podejście do góry i niosły w pędzie świszczącym, od wichru chyższym, po stokach w doliny.

Pierwsza wycieczka dalsza... Powolne





Ten kursista już przezwyciężył trudy Treningu...



Ośnieżony las

pięcie się zakosami pod przełęcz, nowy rozległy widok i zjazd nieznanym krętym śladem za instruktorem.

Łuk! Opór!

Jakże potrzebne okazują się te uprzednie nudne ćwiczenia, istne pięciopalcówki na pianinie, kto jszcze nie opanował zwrotów ten leży, raz, drugi. Triumf radosny tych, co nie obaleni w zetknięciu przymusowem ze śniegiem, zjechali nad sam potok. Rozjaśniają się oczy, radość opanowuje wszystkich. Już nikt patrzeć nie może na boisko, coraz dalsze się marzą wyprawy na turnie odległe, na przełęcze, upłazy, do hal zacisznych lub na wyniosłe granie i szczyty.

Lecz pierw jeszcze sprawdzenie siły, wytrwałości: bieg o oznakę narciarską — radosne święto sportowe. Pierwszy wyczyn na nartach!

Wytkniętą trasę znaczą czerwone chorągiewki — 12 km. dla panów, 8 km. dla pań — czas oznaczony. To nie wyścig, gonitwa, a tylko przebycie przestrzeni w owe godziny i minuty inne dla początkujących, inne dla ubiegających się o srebrny i — szczyt marzeń, złoty znak!

Zawody z samym sobą o wydobycie maksimum szybkości, wytrwania... wstępem w przeddzień badania lekarskie i rozpacz kilku, co serce mają zbyt słabe, którym niedawna grypa, tyfus jakiś ślad zostawiły. Słaba pociecha w tłumaczeniu: za rok, za dwa, już będzie można, teraz wysiłek szkodliwy, nie wolno mdleć na trasie! Wyrokowi ulec trzeba — i zamiast samej biec, na punkcie odżywczym karmić innych cytryną i cukrem.

Wieczór smarowanie nart — tajemniczy obrzęd — krzyżują się nazwy:

— Ja biorę FF., a na wierzch lepniak.

- Chyba pewniejsza będzie tenta i mydełko.

— Już wypróbowałem Goniec i Kurjer Zubka. — Rzecz w tem, by się deski nie obślizgiwały wstecz przy podejściu, a niosły szparko w dół, temu służą kombinacje smarów.

Rankiem na starcie gwar podniesionych głosów, emocjonujące ciągnięcie numerów. Ostatnie wskazówki — głos startera:

— Uwaga 57, 58, 59 — jazda!

Co minuta wybiega nowa postać.

Na długiej przestrzeni trasy przydają się wszystkie sposoby posuwania: fiński, dwukrok, trójkrok — i zwykły możliwie długi — w niejednem sercu budzi się spóźniony wyrzut — „czemu pilniej nie trenowałem". Sędziowie notują na punktach kontrolnych — gdzieś ktoś kogoś mija — kogoś spotkanie zachęca do wysiłku. Przygodnie spotkany narciarz zachęca: „gazu, gazu".

Już meta widoczna, ostatni wysiłek finiszu, hałas witających głuszy liczenie sędziego, podającego sekundy. Widzowie pomagają odpinać narty, ciągną na herbatę, lecz ważniejsze po nad to jest: „czas" — sędziowie obliczają, odczytują wynik — radość jednych i żal drugich, — „tylko" 30 sekund czas przekroczony, tylko minuta. O jakże cenna jest każda chwila! Śpiewają teraz tym wszystkim, co zdobyli odznakę: „Sto lat, sto lat niech żyje nam"! — a wszystkim co czas przekroczyli, że trasę przeszli i że nikt się w drodze nie cofnął — też krzyczą: „Niech żyją i za rok się poprawią".

Wieczorem jedni wracają w swoje niziny, gdzie obiecują ćwiczyć się w biegu

po płaskiem — a inni, swobodniejsi, dnia następnego ciągną na daleką kilkudniową wycieczkę.

Plecaki starannie upakowane w najkonieczniejszą odzież i żywność, choć niby lekkie, ale ważą swoje przy podejściach. Obrany przewodnik pilnuje z mapą i kompasem oznaczonej uprzednio drogi — znaki Towarzystwa Tatrzańskiego ułatwiają orjentację, napełniają otuchą, że choć droga dziwnie się wydłuża, ale jest pewna, bez zbłądzeń — wreszcie samotna chatka, wśród bukowego lasu — schronisko. Zimne, puste, wnet napełnia się gwarem.

Chłopcy rozpalają ogień pod płytą z pozostawionych przez porzednich gości drewek, szykują nowy zapas. Janek przydźwigał wody, więc Marysia do gotowania się bierze.

Jadzia chleb szykuje.

Co za smakowity ma zapach kasza krakowska z „magikiem" *(maggi)* i czyż może być lepszy specjał od przysmarzonych cieńkich plasterków kiełbasy na tłuszczu z boczku, a wreszcie herbata, herbata.

— Konopacka pije z 6 kawałkami cukru — tłumaczy się niby Wacek i ładuje 8 kostek, część wprost do ust, resztę do szklanki.

— Cukier to znakomity środek odżywczy — recytuje Jadzia reklamę.

— Tak, tak — sentencjonalnie kiwa głową Adam-przewodnik — gdyby zamiast tych ogłoszeń dali sportowcom zapomogi na wycieczki — napewno konsumpcja cukru znakomicieby się powiększyła.

Choć niedawno jak ściemniało, ale całe towarzystwo układa się do spoczynku — lepiej rankiem wczas ruszyć.

Radosny okrzyk Jadzi budzi wszystkich.

— Pogoda!

Jeszcze słońce nie wzeszło, lecz już po niebie jasnem złociste i purpurowe kładą się pobłyski.

Rejwach się zrobił, wnet picie śniadania, smarowanie nart, ładowanie plecaków.

Skrzypi zlekka śnieg pod nartami, suną zwolna jedna za drugą postacie, zagłębiają się w ciemną toń smrekową.

Słońce wzeszło i pali się w śniegu tysiącem barw.

Białym nawisem ugięte smreki, stoją jakby kolumny wspaniałe pałacu królowej zimy. Czasem drgnie gałąź i pył srebrzysty osypie wędrowców. Radują się oczy czarem, otoczonych subtelnym nalotem bieli, gałązek bukowych, koronki wzór najcudniejszy układających — i ciemnią dołów pni smrekowych, rozjaśnionych okiścią wierzchołków.

Nagle dłoń się czyjaś wyciąga — biegną za nią oczy — na polance odległej rogacz sarni stoi, chwilę zdziwiony pogląda, by nagłym susem skryć się w gęstwinie. Śladów zwierzyny obfitość, cóż, kiedy stanąć trudno, by je odcyfrować!

Coraz się stromiej pną znaki, w nietkniętej ponowie znaczą narciarze swój ślad. Już znikły buki, tylko smreczyna dookoła — już i ona się urywa — szersze zbocze odsłania, na którem tylko ze śniegu kosówka wygląda.

— Pamiętacie w geografji te pasy roślinności — z zachwytem stwierdzenia istotnej prawdy, mówi Wacek — teraz



Z drogi na Huzarach ku Kopciowej

kosówka, potem będą mchy i porosty, a dalej goły wierch.

Chwilka odpoczynku, spożycie czekolady, cukru, owoców suszonych i dalsza na szczyt wędrówka.

Znów okrzyk radosnego odkrycia — gdy pierwszy ze żlebu na grań się wydostał i widok rozległy zoczył na ośnieżony szeroki świat, na wierchy skalne, stare znajome, od Hawrania po Osobistę, na doliny rozległe, na łagodne beskidzkie wzgórza, na ośnieżoną Babią.

Pośród zlodowaciałych postaci karłowatych drzew, jak w odległej podbiegunowej krainie stąpają narciarze.

Słońce bronzowi im rozgrzane twarze, a oczy zachwycone chłoną coraz to nowe cuda piękna Bożego.

Przez ludzi wzniesiony znak, przez zimę przystrojony i upodobniony do skalnego dziwu — to sam szczyt. Lecą na ziemię plecaki. Radosne oczy patrzą w dal. Prztyka aparat fotograficzny.

Już trud zapomniany. Nowe poderwanie się do zjazdu do schroniska.

Śmiałka, co chciał się popisać strzałą, rychło w śnieg prasnęło, że aż cały się prawie schował, rwanemi christjanami. Adam podziw budzi, przeskokiem zmienia kierunek, rwie w dół błyskawicą, mniej wprawne alpejskiemi łukami o kije oparte zwolna suną, lecz i je chęć pędu porywa, suną prosto — i walą się w śnieg.

Cudnie jest po trudzie dnia odpocząć w schronisku i, gdy przyjemne ciepło po kościach się rozejdzie, gawędzić o przebytych już szlakach, o doznanych przygodach, o planach następnych wędrówek.

Bo życie wśród śnieżnych pól i gór ma swój nieodparty czar, a pęd nart upaja jak wino.

I kto raz tych rozkoszy zaznał, wiecznie o nich śnić będzie i rwać się do nowych wypraw, do dalekich wędrówek.

Przywiezie zaś w swe codzienne życie rozjaśnienie szerokich roztoczy, jasną szczęśliwość słonecznego dnia w rozkwicie śnieżnej okiści i na długie dni żmudnego trudu starczy mu tych zdobytych sił, sobie i innym rozświetli chmurne dni radością bogatych przeżyć i przyszłych narciarskich oczekiwań.

Z. Dłużewska-Kańska.

WESTCHNIENIE

Ach, gdyby można wszystkie smutki świata
na złote słońca promienie zamienić...
Jakżeby piękną była ziemi szata,
gdyby ją można szczęściem opromienić...

Gdyby usunąć można plamy czarne,
zniszczyć nienawiść i chwast ludzkiej złości,
rozpalić w sercach płomienie ofiarne,
zasiać kwiat szczęścia i bratniej miłości...

Ach, gdyby można łzy ludzkiej niedoli
zamienić w ciche ukojenia morze,
usunąć z duszy, co gnębi, co boli...
Ach, gdyby można to zrobić, mój Boże!...

Alina Kwiecińska.

Z cyklu: „Z ziemi śląskiej“.

STRAŻAK JURA

Stary Jura od wójta już długo żył na świecie.

Jeżeli się go ktoś zapytał, ile mu lat, to Jura najpierw ciężko się zamyślił, potem raz i drugi mocno poskrobał po rozkudłaconej głowie i rzekł:

— Strasznie moc!... Dyć tego ani porachować nie mogę!...

A że tak długo żył na świecie, to już też nie jedno widział i niejedno przeżył. Dużo rzeczy widział i dużo radości i trosk przeżył. Najwięcej — to już tych trosk było. Zjadły mu serce ostremi zębcami, że nie wiele z niego pozostało, skaliły mu oczy, poorały twarz w plątaninę zmarszczek, do ziemi przygniotły. A siły — to już też niewiele zbywało. Kiedy mu się „Kontesa“ spłoszy, to jej już nie sposób udzierżeć na powrozie. Ucieknie, bestja, z zadartym ogonem w farorzową pszeniczkę czy inszą paskudę i to wszystko. „Malina“ i „Brzezula“ — to go jeszcze jako tako słuchały. Ale „Kontesa“, to zły duch nie krowa!...

Mój Boże, ile się już też tych krów napasał za życia, ile?... Aniby tego człowiek nie zrachował, choćby cały dzień głowę sobie łamał i na kamuszkach odliczał. Była Kontesa, Strokula, Łaciato, potem drugo Kontesa, Kwiatula, Piwonja... ale strasznie moc ich było!...

Od chłopięcych lat, kiedy go mamulka odemrzyli — Boże im tam dej radość wieczną, amen!... — od chłopięcych lat pasał już krowy. Ludzie powiadali, że nie ma wszystkich w domu. Toć nie ma!... Tatulka nie znał nigdy, a mamulka go odemrzyli, jak jeszcze takim małym chłapieczkiem bywał, tóż pewnie, że niema wszystkich w domu. Kajby się nabrali?...

A że tak ludzie powiadali, więc musiał krowy pasać. Raz u tego gazdy, potem zaś u inszego. Tak długo, aż się przy krowach zestarzał. Żadna dzioucha go nie chciała, a gdy się do której zalecał, to jeny chichotała i wyszklaby z niego stroiła. Takie myrszyny dziouchy!...

Ale Jura wysmoliłby się na dziouchy. Z tem jest jeny przenaramno dożera w chałupie. Wszak on dobrze wie, bo nieraz widział gazdoszka, jak se chodził zafrasowany po miedzy i spluwał ciężko na ziemię i po głowie się drapał. A ciągiem poklinał:

— Pierońsko baba jedna!... Ta zaś mi dzisio wyraficzyła!... Jużby się człowiek bai pięścią przebód!..

Tak se porządzali gazdoszek sam ze sobą.

A potem, to szli do starego Fafuły na Widerholec i siedzieli tam, aż se mocno popili. A gdy wracali do chałupy, to już ich zdaleka było słychać. Bo całą drogą śpiewali.

A potem w chałupie robili stomiljoński krawal!... Że się aż sąsiedzi zlatywali i jeden drugiemi powiadali, że wójciczek są pijani. Tak powiadali ludzie.

Jura widział to raz i drugi i zarzekł się żeniaczki.

Lepiej se kamień młyński na kark przywiązać i do wody skoczyć, jak se taki krzyż miljoński napytać!... Jura nie jest głupi!...

Pasał se więc Jura krowy, Kontesę, Malinę i Brzezulę i dobrze mu już teraz było na świecie. Wójciczek mieli jeszcze małą Madlenkę, taką złotą oszkrabinkę, taką żabeczkę roztomiłą, co to w koszulinie plątało się za Jurą po podwórzu i na łęg za nim przybieżało i temi modremi ślepiątkami tak przesłodko się patrzało, że się człowiekowi aż słodko na dolinku robiło. Jakby se człowiek rzetelnego miodu chlipnął, kiedy ta mała Madlenka przebieżała. Strasznie to był kochany chroboczek.

A jak tylko człowieka dopadła, to już dzwoniła za nim i ciągiem prosiła:

— Jura, a bojej mi piękną bojkę!... Pyty... pyty!... — i tak te małe łapiętka uciesznie składała i po chropowatej twarzy gładziła i dogadywała, że Jura mięknął i zaczynał bajać. Raz o utopcach potem o królu Gwoździu, inszym zaś razem o nocznicach, potem jeszcze o Meluzynie, i o tym szewcu, co djabłu chwost ustrzygnął, i o Ondraszku i wszystkiem.

To też dobrze było Jurze z Madlenką wójciczkową a Madlence z Jurą od wójta.

Jedno miał jeszcze zmartwienie. Bardzo wielkie zmartwienie. Takiego zmartwienia, to jeszcze nie miał żaden człowiek na świecie.

A to było tak.

Wójciczek był strażakiem. Ba, wójciczek byli komendantem strażaków. Piernika!... Takiej parady, to jeszcze żaden człowiek nie dożył, co Jurów wójciczek. Kiedy się wójciczek wystroili w mundur, kiedy se przypasali taki szeroki pas skórzany z małą siekierką u boku i kiedy se na głowę wdziali złoty hełm!... Maryjko święto!... To się człowiekowi aż w oczach mieniło. A potem kiedy se tak szli przez dziedziniec a zakurzyli se fajkę, a ludzie to tak jeny na boki schodzili i uśmiechali się przymilnie i witali ładnie:

— Pieknie witóm, panie wójciczku!... Pieknie witóm, panie komendancie!... — to wójciczek aż czerwienieli po gębie z hyry i szli se, jak sam cesarz Wilhelm, co go Jura widział w kalendarzu żołnierskim ładnie wymalowanego.

Strasznie się Jura rozmiłował w onym strażackim mundurze, a jeszcze więcej w tamtym złotym hełmie na wójciczkowej głowie.

— Mój Boże! — myślał — żeby też kiedy w życiu takiej parady dożyć, a też se tak iść przez dziedziniec a ludziom przekazywać w takim szumnym hełmie, jak mój wójciczek!... Mój Boże kandy!...

I po nocach spać nie mógł, jeny rozmyślał, jekby to uczynić, żeby też móc



K. Kłosowski

„Nikogo, mówię-ć nie słuchaj, jedynie
Własnego serca, jeśli serce swoje
Umiałeś życiem zamienić w świątynię,
W której się ciszą stają niepokoje
[życia".

J. Kasprowicz.

(Cicho za nami sunie cień żywota).

zostać strażakiem. A co usnął, sny go przeradosne nawiedzały, bo widział się w wielkim złocistym hełmie na pokudłaconej głowie, a wszystkie dziouchy aż się za głowy z podziwu łapały i tak cmokały urzeczone, że aż na dziwy. A Kontesa ani go poznać nie mogła.

Raz wójciczek mieli pojechać kańsi do Skoczowa na jakąś strażacką paradę. Wynieśli swój hełm na podwórze, zawołali Jurę i tak powiedzieli.

— Te Jura!... Weż se kapke popiołu z popielorza a pieknie mi ten hełm wyczyść. Ale to ci mówię! Aż się tak świeci, żeby się na nim mucha mogła rozrazić!... Musi być, jakby ze złota!... No, a już się chytej roboty, bo ni móm wiela czasu.

Wtedy Jura aż oniemiał z radości. Wziął hełm w obie dłonie i długo oglądał. Jakby niewidziane cudo. Potem jął czyścić. Przyniósł najdrobniejszego, osiewanego popiołu, posypywał zlekka, rozcierał szmatką, chuchał, popluwał, znowu tarł szmatką, aż wkońcu hełm był cały ze złota. A słoneczko to tak się tylko łyskało na nim w drobne pozłociste plewy.

Potem ujął go ostrożnie w końce palców i wsadził na głowę. Poruszał głową i rozejrzał się. A wtedy się uradował niepomiernie, bo kury przestraszone uciekały na złamanie karku, Bosek skrył się do budy i zcicha warczał na niego, a kogut wyleciał na płot i jął się rozdzierać na calutkie podwórze:

— Ty strażakuuuu!... Ty strażakuuuu!... — i bił skrzydłami z wielkiego podziwu, jak opętany.

Jura poszedł potem za stodołę, gdzie był mały stawek. Gęsi i kaczki taplały się w nim po całym dniu. Zapragnął przejrzeć się w wodzie, jak mu też do twarzy w wójciczkowym hełmie. Stanął, rozkroczył się i przechylił mocno wprzód nad wodę. Lecz w tejże chwili hełm obsunął mu się z głowy i bęc do gliniastej wody!...

Mój Boże, co też to było wtedy za piekło!...

Wójciczek klęli, jak stary górnik, pieronowali szpetnie, krzywakiem grozili, że Jura musiał do lasu uciec.

A potem wójciczek już o wszystkiem zapomnieli. Znów byli dobrzy i uśmiechali się i porządzali niefrasobliwie. Bo im się Kontesa ocieliła, tóż dlatego byli tacy.

Wtedy już Jura nie strzymał.

— Wójciczku! — powiada — wójciczku!... Joby też chcioł być strażakiem. Takim, jako wy, wójciczku.

— Ty buło!... — roześmiał się szeroko wójt — tybyś chcioł być strażakiem?... Na, czyś zbłoźnił, czy co?... Cóż ci zaś na ten twój rozum kapło?...

— Wójciczku, naprowdy!...

— Hale, idź, idź!... nie pleć!.. Jeny byś gańbe robił wszystkim strażakom!... Cóż ci się też zachciało!...

— Ale wójciczku roztomiły, dyć...

— Hale nie fulej podaremnicy!... Schowaj se tą pare na ciepły ziemniok. A zresztą, kto chce być strażakiem, to musi być chłop!... Nie śmie się ognia boć!... Taki strażak to musi i do ognia wleźć i wszystko wynieść choć się już powoł na niego wali!... A ty!... — i odszedł trochę urażony na honorze.

Jura nic nie powiedział, tylko tak mu było, jak małemu dziecku, kiedy je łzy duszą.

Lecz zapamiętał sobie dobrze wójciczkowe słowa:

— ...taki strażak do ognia musi wleźć i wszystko wynieść, choćby się na niego powoł walił!

Minęło kilka tygodni.

Wójciczek z gaździnką na polu resztę pszenicy wiązali, słoneczko było wysoko na niebie, gorąco było ogromnie, a Jura pod lasem krowy pasł i frasował się, jakby tu zostać strażakiem. A kiedy tak rozmyśla, naraz rozdzwoniły się wszystkie dzwony na kościele.

Jura podniósł zdziwiony głowę, boć przecież jeszcze nie jest południe. Patrzy się i... Maryjko święto!... z wójciczkowego domu, co stał na wzgórzu, biją pod niebo ogromne, czarne kłęby dymu, a krwiste jęzory ognia przeplatają je postrzępionemi płachtami.



Rybacy

— Wójciczek się poli!... — wrzasnął przerażony Jura i, nie patrząc na krowy, co se teraz powoli w sąsiadową paskudę wlazły, pognał, co sił, w kierunku palącego się domostwa. Zewsząd już biegli przerażeni ludzie, krzyki kłębiły się po dziedzińcu, psy rozwyły się żałośliwie przy budach, dzwony krzyczały coraz rozpaczliwiej, a tamte dymy rosną i rosną, coraz straszniejsze i coraz potworniejsze.



Jastrzębia Góra

Dopadł już miedzy, prowadzącej na wójciczkowe podwórze, kiedy posłyszał straszny krzyk lęcący z gęstwy przerażonych ludzi, tłoczących się bezradnie koło ognia:

— Madlenka wójtowa tam jest!... Madlenka wójtowa zgore!...

Ostry nóż wraził się w rozdygotane serce Jurowe. W oczach mu pociemniało. Jezusku święty, jego Madlenka, jego chroboczek przenajmilszy w gorejącym domu!

Ostatkiem sił poleciał, a kiedy wpadł w krzyczący tłum i spojrzał — straszne przerażenie zwaliło się na niego. Drewniany dom gorzał jak świeca. Cały dach był jednem ogromnem zarzewiem a z wywalonych drzwi sieni i z popryskanych szybek okiennych biły ogniste języki ognia. Syczały, jak rozjuszone kłęby żmij, lizały drewniane przyciesie, wgryzały się, miotały garściami iskier, odpędzały ludzi piekielnym żarem.

— Ludzie!... Tam dziecko zostało!... — przewala się ogromny krzyk kogoś z tłumu — ratujcie, tam Madlenka została!...

Każdy się cofa, bo wie, iżby po śmierć swoją pędził. Truchleją serca ludzkie — skowyczą w opętanej trwo-



Kutry na wzburzonem morzu

dze, nikt nie ma odwagi rzucić się w tamte szalejące piekło...

Przyskoczył Jura. Nic nie słyszy, nic nie widzi, tylko swoją Madlenkę umiłowaną widzi, jak tuli się w oślepłej trwodze do kąta i kwili w rozpaczy, i rączkami zasłania przed podchodzącym ogniem, i woła słabnącym głosikiem:

— Mamulko!... Mamulko!... Jula!... Mój Jula!...

Nachylił się, roztrącił gwałtownie wieniec ludzi runął do sieni. Spaliło go po twarzy, jakby płonącą chustą trzasnął go ktoś w oczy. Syknął z bólu, nachylił się niżej i teraz omackiem jął brodzić w dławiącym dymie. Jura wie, gdzie będzie Madlenka!... W drugiej izbie, od podwórza. Rozciągnął szeroko ramiona i maca po ścianach. Parzy go ogień po dłoniach, po twarzy liże. Niechtam!... Dochodzi do drzwi. Zamknięte. Lecz od powały już je ogień gryzie. Pchnął ramieniem!... Nie puściły. Jeszcze raz!... Zatrzeszczały, posypał się wiecheć ognia na głowę i plecy. Skoczył teraz w izbę. Pełno dymu. Nic nie widać. Krztusi, za gardło strasznemi pazurami łapie, dławi. Serce wali setką młotów. W oczach tańczą czerwone koliska. W skroniach dzwoni stu kościołami.

— Madlenko!... Madlenko!... — krzyczy w pęczniejący, siny dym.

Posłyszał skróś trzeszczenie palącej się powały leciuchne kwilenie. Rzucił się w tamtym kierunku. Namacał. Rozrzucone łóżko. Niema jej!... Schylił się, pod łóżko sięgnął. Uchwycił drobną nożynę!... Wydobył ostrożnie, przytulił do piersi i pobiegł zpowrotem. Dym coraz mocniej dławi, w oczach coraz większe koliska, w skroniach tysiące dzwonów wali i wali. Jeszcze przez sień. Szarzeje przez skołtunione dymy niewyraźny prostokąt rozwartych dźwierzy. Jeszcze kilka kroków... Już!...

Ostatkiem sił wyczołgał się na próg. Wyciągnęły się do niego pomocne ręce, wydarły dziecko z ramion, wsparły i gdzieś poprowadziły. W skroniach ogromna burza się przewala. Na oczy pada ciemność. Głowa leci w jakąś przepaść...

Kiedy się ocknął, obok niego stali wójciczek i dłoń mu ściskali.

Coś mówią i płaczą z radości.

— Wójciczku... a... teraz... mogę być... strażakiem... — szepce z wysiłkiem Jura.

— Możesz, mój Juro roztomiły, możesz... — słyszy głos wójciczka, jakby bardzo zdaleka.

— A docie mi taki... taki sóm... hełm... złoty... jaki wy... mocie?..:

— Dóm ci Juro, dóm — słyszy znowu zdaleka wójciczkowe słowa. Teraz gdzieś odchodzi. Już wraca. W dłoni niesie złoty hełm strażacki. Podaje go Jurze.

— Tu mosz, Juro mój roztomiły... tu mosz!... — mówią wójciczek i hełm w Jurowe dłonie wkładają.

A Jura gładzi popalonemi palcami zimne wygięcia hełmu i uśmiecha się leciuchno.

Gustaw Morcinek.

STARY RYBAK

Morze wyje jak zgłodniały wilk bury
Jak wilczyca gdy jej małe zabrano —
Drapią brzegi rozwścieczone pazury
Pysk ocieka kędzierzawą fal pianą.

Sam na brzegu słucha wycia i jęku —
Kaja się, błaga Rodzicielkę Bożą
Aby na pełnem miłosierdzia ręku
Wyniosła na brzeg tych, co są na morzu.

M. Czerkawska.

POWSTANIE STYCZNIOWE

(Ciąg dalszy).

Tymczasem Wielopolski postanowił za wszelką cenę zgasić zarzewie rewolucji i w tym celu ukuł plan, który go na zawsze związał z wybuchem powstania. Chcąc usunąć z widowni „czerwonych", a nie mając na to innego sposobu, postanowił zarządzić brankę w „sołdaty". Ażeby zrozumieć całą ohydę tego pomysłu, trzeba znać ówczesny system poborowy. W r. 1816 ustanowiono komisje rekruckie, które wedle własnego uznania sporządzały listę młodzieży podległej poborowi; policja w nocy wdzierała się do domów i porywała wyznaczonych w „sołdaty". Ile przy tem działo się nadużyć, niesprawiedliwości, okrucieństw, nie trzeba chyba pisać. To też car Aleksander II. już z początkiem swojego panowania, bo w r. 1859, zmienił system poboru i rozkazał popisowym stawiać się do losowania. Niestety nowy system nie czynił zadość pragnieniom Wielopolskiego, gdyż nie mógł posłużyć do wyłapania „czerwonych". Ale można było postarać się o zmianę systemu. Choć burza zerwała się przeciw margrabiemu, choć sam W. Ks. Konstanty nie chciał swej ręki przyłożyć do dzieła — Petersburg zatwierdził petycję Wielopolskiego i stary system poborowy z 1816 r. stał się znowu aktualnym. Nazwiska popisowych i termin poboru zostały okryte mrokiem tajemnicy. Nikomu jednak nie było tajnem, że branka godziła w samo serce obozu „czerwonych".

Przed polską młodzieżą stanęły dwie alternatywy: albo iść do wojska ciemiężcy, zdeptać osobiste uczucia patrjotyczne i przekreślić wszelką możliwość powstania — albo przyśpieszyć wybuch walki, zwyciężyć lub zginąć. Wypadki ostatnich miesięcy potoczyły się z tak błyskawiczną szybkością, że stan dotychczasowych przygotowań zupełnie nie odpowiadał możliwości nawet najbardziej optymistycznie pojętego zwycięstwa. Komitet Centralny „czerwonych" nie chcąc wszczynać walki, przedstawiał swoją niemoc w dostarczeniu broni i mundurów, błagał choć o kilkutygodniowe przesunięcie terminu. Gdy młodzież stanowczo wypowiedziała się, że dzień branki będzie hasłem powstania, Komitet Centralny nie wiedział, co począć. Chwytano się rozpaczliwych pomysłów. Padlewski chciał utworzyć z młodzieży rwącej się do boju „armję zrozpaczonych", stanąć na jej czele i rzuciwszy się na wroga, zginąć w beznadziejnej walce. Bobrowski natomiast radził, by cały Komitet Centralny dobrowolnie wydał się w ręce Moskali, a nie rozpoczynał powstania, które skończy się niechybną klęską. Sytuacja była jednak już tak naprężona, że do wybuchu przyjść musiało i nawet najbardziej rozpaczliwe przedsięwzięcia ze strony Komitetu, nie byłyby odroczyły terminu. Ostatecznie więc Komitet uległ, dał rozkaz młodzieży warszawskiej, by gromadziła się w Puszczy Kampinowskiej — „tam popisowi mieli tworzyć oddziały i oczekiwać na broń, którą Komitet nie rozporządzał oraz na dowódców, których jeszcze nie było" *(A. Śliwiński, Powstanie styczniowe, str. 157.).*

Według oznaczonego terminu powstanie wybuchło w nocy 22 na 23 stycznia. Główny zamach skierowany na Płock nie udał się. Ogłoszony manifest o uwłaszczeniu nie poruszył chłopów. Mimo to dreszcz powstania przeszedł po całej ziemi polskiej, w różnych punktach gromadzono się w oddziałki większe i mniejsze, szarpano placówki rosyjskie, czem napędzono takiego strachu głównodowodzącemu w Królestwie generałowi Ramsay'owi, że począł skupiać swe siły, uwalniając tem samem cały szereg miast i miasteczek od słabych posterunków rosyjskich. Powstańcy opanowali opustoszałe placówki i rozpoczęła się partyzantka na dobre.

Pierwszy dyktator, Mierosławski, o mało nie zginął w bitwie pod Krzy-

wosądem, a gdy po klęsce udał się do Paryża, obwołano nowego dyktatora, Marjana Langiewicza. Ten, doskonale obeznany ze sztuką wojenną, rokował wielkie nadzieje. Lecz gdy po świetnem zwycięstwie pod Grochowicami odjechał do Krakowa w celu załatwienia spraw związanych z powstaniem, Austrjacy schwytali go i osadzili w więzieniu. Wojsko zostawione bez wodza rozprzęgło się szybko. Mimo to walka w całym kraju nietylko trwała dalej, ale coraz silniejszym buchała płomieniem.

Do powstania przyłączyli się „biali", rząd francuski okazywał sympatję Polakom, łudzono się więc nadzieją otrzymania pomocy z zagranicy, spodziewano się jaśniejszej przyszłości. Ale i klęski liczne spadały na powstańców. Padlewski, walczący w ciechanowskiem, zginął straszną śmiercią, za życia jeszcze zakopany w ziemi po niecelnie wymierzonej w niego salwie karabinowej. Na Podlasiu Lewandowski dostał się do niewoli. Pułkownik Nullo (Włoch), walcząc w olkuskiem, zginął w bitwie pod Krzykawką. W końcu kwietnia generał Jeziorański po licznie odniesionych zwycięstwach wyparty został za kordon austrjacki. Lecz partyzantka w sandomierskiem, podlaskiem, krakowskiem wiodła się doskonale, sławą okryły się imiona Czachowskiego, Lelewela (Marcina Borelowskiego), ks. Brzóski, Chmielińskiego.

Na Litwie i Żmudzi powstańcy dokonywali cudów waleczności pod ks. Mackiewiczem, Zugmuntem Sierakowskim. Lecz już w połowie maja Sierakowski dostał się do niewoli, a nad Litwą zaciężyła krwawa ręka „Wieszatiela" Murawjewa (od 26. maja 1863 r.). Próba powstania na Ukrainie zakończyła się krwawo wskutek haniebnej zdrady chłopów we wsi Sołowjówce: Jurjewicz, prowadzący oddział akademików, nie chciał strzelać do rozszalałych tłumów chłopskich, a gdy go fałszywemi przyrzeczeniami skłoniono do złożenia broni, zginął z dwunastu towarzyszami pod



Grupa powstańców

uderzeniami kos i cepów. Jedynie na Wołyniu wiekopomną sławą okrył się Edmund Różycki, położywszy pod Salichą 200 trupów moskiewskich, a tracąc ze swej strony zaledwie 12 żołnierzy. Lecz już 28. maja musiał i Różycki przekroczyć kordon austrjacki.

W drugiej połowie czerwca rozwiały się mrzonki o pomocy zagranicznej. Rosja przekonała się, że żadne z mocarstw nie podniesie broni w interesie Polski, zrozumiała, że ma ręce rozwiązane i postanowiła z całą bezwzględnością zdusić powstanie. Przykrą niespodzianką dla powstania było, że Rumunja wypowiedziała się przeciw polskim dążeniom wolnościowym i rozbroiła oddział Miłkowskiego (Tomasza Jeża) śpieszący rodakom na pomoc. Mimo to Rumun, Adam Choreto, zostawił wśród naszych powstańców miłą pamięć dzięki swej wielkiej życzliwości, gościnności

i pomocy materjalnej, której im udzielał. Jakkolwiek twierdził, że to, co robi, jest jedynie *„pentro princip libertati popular“* — dla zasady wolności ludów“ — to jednak wyczuwało się jego specjalną życzliwość dla Polski.

Tymczasem partyzantka powstańcza stawała się coraz bardziej beznadziejną. Kto wie, czy skonsolidowanie luźnych oddziałów i poprowadzenie regularnej wojny, nie byłoby uratowało powstania, ale plan ten został wniesiony do rządu dopiero przez Romualda Traugutta w chwili, gdy było już na to zbyt późno. Dotychczas, wedle współczesnego świadectwa „każdy z dowódców oddziału miał jakąś dziwną chęć niezależności i popisywania się na swoją rękę... O subordynacji i poszanowaniu władzy nie chcieli nawet wiedzieć“... (*Pam. Powst.*, *Lwów 1881.).*

Bezwątpienia mścił się na powstaniu bezład, który panował w najwyższej jego władzy t. j. w Rządzie Narodowym. Po upadku dyktatury Langiewicza (19 marca 1863 r.) trzech dzielnych ludzi stanęło u steru rządu: Giller, Awejde, Maykowski, dwaj ostatni zastąpieni wkrótce przez Ruprechta i Siwińskiego. Ów t. zw. Rząd Tymczasowy cieszył się posłuchem wśród powstańców, rozwinął szeroką działalność dyplomatyczną. Nie odpowiadał jednak radykalnym elementom „czerwonych“. — 25 maja obalono Rząd Tymczasowy, sklejono nowy zespół złożony z czterech członków. Ale nowy Rząd, t. zw. „czerwcowy“ nie posiadał należytej sprężystości w działaniu i wkrótce zakończył swój żywot dzięki następującemu zdarzeniu. Aleksander Waszkowski skonfiskował 24 miljony złp. z Kasy Głównej Królestwa Polskiego i nie chciał tej kolosalnej sumy wydać innemu rządowi, jak tylko temu, który zostanie utworzony przez Karola Majewskiego, znanego dzielnego patrjotę. Członkowie rządu „czerwcowego“ ustąpili tedy pro publico bono. Nowo utworzony rząd, t. zw. „lipcowy“ okazał niesłychaną sprawność w działaniu, ale właśnie za jego czasów rozwiały się mrzonki o pomocy zagranicznej, a Rosja żelazną dłonią poczęła tłumić powstanie. Pod naciskiem Petersburga dnia 16 lipca wyjechał na zawsze z Warszawy margrabia Wielopolski. Wkrótce usunięto także W. ks. Konstantego, a na jego miejsce wyznaczono generała Berga, człowieka znakomicie nadającego się do roli, którą mu car wyznaczył w historji. Wypadki te, jak i porażki na placu boju, podważyły powagę Rządu Narodowego — 16 września rewolucjoniści chwycili ster walki w swe ręce. Niestety środki, które poczęli stosować, zraziły do nich większość społeczeństwa, a gen. Berg, który 19 września zjechał do Warszawy, na teror odpowiedział terorem. Zdawało się, że w tych posępnych okolicznościach zagaśnie ostatni płomień walk. Na szczęście inne tło miało towarzyszyć końcowi powstania.

W Warszawie zjawił się człowiek, którego nieoczekiwane wystąpienie obaliło rząd rewolucyjny, a w dogasające popielisko powstania tchnęło nowy żar. Człowiekiem tym był Romuald Traugutt. Postać Traugutta zarysowała się już na początku powstania, na czele „partji“ kobryńskiej. Teraz Traugutt wracał z Francji, dokąd został wysłany przez rząd Majewskiego. Był to człowiek niezwykły. Jako były oficer wojsk rosyjskich znał się doskonale na sztuce wojennej, posiadał niespożytą energję, siłę woli, łączył bezgraniczną ufność w lepsze jutro z niegasnącą żądzą czynu; głęboko religijny, szukał pokrzepienia w modlitwie i Najśw. Eucharystji; służbę narodową uważał za swój święty obowiązek i tam służyć chciał Ojczyźnie, gdzie uważał, że może być najpożyteczniejszy. Widząc rozprzężenie Rządu Narodowego, zrozumiał, że jedynym ratunkiem dla powstania może być zmiana jego przywódców. Wiedział, że sytuacja jest tragiczna — wszak wrócił właśnie z zagranicy, gdzie osobiście przekonał się, jakiem złudzeniem jest obca pomoc, lecz mimo to postanowił ratować powstanie.

C. d. n. *S. B.*

WIELBIĘ CIĘ, PANIE!

Wielbię Cię, Panie, już od wschodu słońca,
a kończę wielbić z spłynięciem miesiąca.
gdy drzewa kwitną na cieple wiosennem,
gdy pnie się skarżą z kostnieniem jesiennem,
gdy rzeka tryska swym prądem toczyście,
lub gdy kamienie dna skrzą się srebrzyście.
Gdy usta szczęścia wyszeptać nie mogę,
gdy się uginam, krocząc życia drogą...
Wielbię Cię, Panie, już od wschodu słońca,
a kończę wielbić z spłynięciem miesiąca.

Michał Szymański.

ŚWIĘTY KAZIMIERZ

Nocą, pod drzwi świątynne, misternie okute,
Spieszy młody królewicz na słodkie czuwanie,
Płaszcz szkarłatny i włosy, szarpią wiatry lute,
Zasie On — sieje modlitw lilije i rutę,
Płonąc cały — jak jedno różane kochanie.

Na zamku pozostały świeckich myśli smętki,
Jagielońskiej świetności złociste ogniwa,
Fraucymeru nadobne, w uśmiech strojne wędki,
A tu jeno — by natchnień błysk, piorunnie prędki
Migoce przeradośnie gwiazda wiary żywa.

„Boże! Oto pieśń Tobie grają myśli moje!
W służbę wierną się czucie wszelakie oddawa!
Kładę Ci u Stóp tęsknot błękitne powoje,
I samotne, o świętość własnej duszy boje,
Których wszak nie policzy żadna ziemi sława“.

Wiatr przycichł — śnieżek bielszy niźli gronostaje,
Przyprószył wawelskiego tumu zimne schody,
Na których Pan widzenie swemu Słudze daje,
Wiodąc serce przeczyste w te anielskie raje
Gdzie wieczyście już będą Go czciły narody.

A. Nagórska.

MODA I ZAPUSTY

OSOBY:

p. Krystyna		Jadzia	goście
Cesia	jej dzieci	Józio	
Hanka		Kazio	
Jurek		p. Adam	

Skromny pokój służący za jadalny, sypialny i salonik równocześnie. Przy prawej ścianie łóżko i toaletka. W głębi pianino i kanapka. Przy lewej ścianie bufet, a przed nim na pierwszym planie mały stolik. Na środku pokoju stół jadalny z krzesłami.

Na kanapce siedzi Cesia i robi manicure. Przez lewe drzwi wchodzi Hanka, niosąc trzy talerze z kanapkami.

Hanka: Cesiu, pomóż mi, proszę, postawić te talerze.

Cesia: Zaraz, zaraz... *(dalej robi manicure)*

Hanka: Oj, bo boję się, że upadnę. Weź ten talerz z wierzchu.

Cesia: Dajże mi spokój.

Wchodzi Jurek, podchodzi do Hanki i ogląda kanapki.

Hanka: Jurku, weź ten talerz. Daj tu na stolik *(stawiają talerze na stoliku przed bufetem).*

Hanka: Pięćdziesiąt kanapek na dzisiejszy bal. Chyba wystarczy.

Jurek: A pączki też będą?

Hanka: *(śmiejąc się)* ty łakomczuchu, będą, będą.

Jurek: A z jakiemi konfiturami?

Hanka: Zobaczysz. Idę teraz pomóc mamusi w smażeniu. *(wraca do drzwi)* zróbcie trochę porządku w pokoju, bo przecie zaraz się zaczną schodzić. Jurku zmień ubranie. A ty, Cesiu, kiedy będziesz gotowa? Sukienkę ci już wydostałam i odprasowałam. Wisi w kuchni.

Cesia: To mi ją proszę, przynieś.

(Hanka prędko wychodzi, tymczasem Jurek ogląda i wącha kanapki. Nieznacznie bierze jedną i zaczyna jeść. Hanka wraca).

Hanka: O masz. Widzisz jak ci pysznie wyprasowałam.

Cesia: Też pomysł! Przecież tej nie nałożę. Biała bluzeczka i plisowana spódniczka!

Hanka: Przecież ja też będę w bluzeczce. Innych sukienek nie mamy.

Cesia: Przecież ja mam tę przerobioną z mamusi balowej.

Hanka: Tak! nie pomyślałam. Myślałam, że chcesz być tak ubrana jak i my *(głos za sceną: Hanko!)* O, Mamusia woła. Zapomniałam o pączkach *(wybiega).*

Cesia: *(przeciąga się)* To jest nieznośne, że nie mamy służącej. Jurku daj mi jedną kanapkę i przynieś mi z szafy sukienkę tę różową *(Jurek przynosi jej kanapkę, sam przy tej okazji biorąc sobie drugą).*

Jurek: Te z szynką bardzo dobre.

Cesia: Idź teraz po sukienkę, tylko ostrożnie.

(Jurek wychodzi, Cesia wstaje, gryzie kawałek kanapki, ogląda swoje paznokcie i przegląda się w lustrze).

Cesia: *(sama do siebie)* Nieszczęście, że pieniędzy na fryzjera niema — wyglądam jak strach *(siada przed lustrem i układa sobie włosy).*

Jurek: *(wnosi sukienkę)* Masz.

Cesia: Daj *(bierze z rąk Jurka, przykłada mierząc)* Boże, jaka krótka! A mówiła mi Mimi, że na zabawy teraz same długie noszą. Co tu robić?

(Wchodzi p. Krystyna, z półmiskiem pączków, za nią Hanka, niosąc duży szklanny słój z lemoniadą).

p. Krystyna: *(stawiając pączki na bufecie).* Tę lemoniadę chyba na stoliku postaw. *(rozgląda się po pokoju)* Jakto Cesiu, jeszcze nie sprzątnęłaś pokoju na przyjście gości. Hanka mi cały czas w kuchni pomagała, nie można wszystkiego na nią zwalać.

Cesia: Ach mamusiu tyle mam kło-

potu z tem ubraniem, zresztą czemu mamusia nie trzyma służącej?

Hanka: Cechno, że ty tego nie rozumiesz. Przecież wiesz, że gdyby tatuś żył to byłoby inaczej *(całuje ręce matki)*. Mamusia taka dobra. Cały dzień pracuje, a pomimo to dba jeszcze, żebyśmy się zabawiły trochę. Będzie dziś balowanie, wiwat!

(Jurek przez cały czas krąży koło pączków, cichaczem ściąga jeden i zajada, Cesia dalej ogląda suknię).

p. Krystyna: Może da Bóg, że kiedyś zrozumiesz wiele rzeczy, no ale teraz czas najwyższy. Idź Cesiu do mojego pokoju ze swoją toaletą, a my tu z Hanką przygotujemy pokój *(Cesia wychodzi na lewo).*

Hanka: Wie mamusia ten stół to najlepiej będzie wysunąć, a z łóżka zrobimy kanapę. Krzesła tu poustawiam.

p. Krystyna: Weź z tamtej strony. *(Jurek podpija ze słoja lemoniadę)* Iiii — mało słodka. *(bierze z bufetu cukierniczkę i sypie cukier)* To dobrze, na dnie zostanie cukier. Bardzo taki cukier lubię.

(p. Krystyna i Hanka wchodzą).

p. Krystyna: Weź dywan z nad łóżka i daj na to łóżko. Weź te poduszki z mego fotelu.

Hanka: Ależ mamusi będzie niewygodnie.

p. Krystyna: Przez jeden wieczór nic mi się nie stanie.

(Hanka wychodzi, p. Krystyna krząta się po pokoju. Spostrzega Jurka).

p. Krystyna: Jurku idź już, zmienić ubranie.

Jurek: Już idę mamusiu *(wychodzi)*

Hanka: (wchodzi) To ci będzie kanapa. O, te poduszki tak malowniczo wyglądają.

(Dzwonek)

p. Krystyna: Haneczko, idź prędko zmień sukienkę, ja otworzę *(zdejmuje serwetę, którą zasłoniła sobie czarną skromną suknię i idzie do drzwi na prawo. Odmyka. Wchodzi Jadzia, Józio i p. Adam).*

Jadzia: Dzień dobry Pani! A gdzie dziewczynki? Nie poznaje pani Adasia, mój cioteczny brat.

p. Krystyna: Ależ pan wyrósł i zmężniał. Naturalnie, że pamiętam. Jakże się miewają rodzice?

p. Adam: Dziękuję, dobrze. Właśnie w imię dawnej znajomości ośmieliłem się dziś nie proszony...

p. Krystyna: Zawsze pan jest mile widziany.

(Wchodzi Hanka w białej bluzeczce — skromnie i zgrabnie ubrana. Wita się swobodnie i serdecznie z Jadzią i z Józiem. Do Józia mimochodem):

Hanka: Józiu — czy jest nowy wiersz?

Jadzia: Pozwól Haneczko — mój kuzyn.

Hanka: Nie poznałabym pana, gdyby mi Jadzia nie mówiła, że pan przyjedzie. Pan teraz stale w Warszawie?

p. Adam: Tak, już trzeci rok studjuję na uniwersytecie.

Hanka: A na jakim wydziale?

p. Adam: Niech pani zgadnie, domyśli się. Coś tak z życiem związanego.

Hanka: To pewno literatura!

p. Adam: Ale gdzież literatura — to dobre dla płytkich suchych umysłów. Ja jestem na medycynie.

(Zbliża się do nich Józio)

(p. Krystyna ciągle mówi z Jadzią, siadają na kanapce, p. Adam na skinienie p. Krystyny zbliża się do nich)

Józio: O czem rozmawialiście z Adamem?

Hanka: (zamyślona) Powiedz Józiu na co ty się wybierasz po maturze.

Józio: Jak sądzisz. Znasz mnie dosyć. Ja muszę mieć coś tak ściśle związanego z życiem.

Hanka: Ach! już wiem. Pójdziesz na medycynę.

Józio: (oburzony) Ależ gdzież — za nic. Coś bardziej z życiem, z duszą związanego. Pójdę na literaturę.

(dzwonek — Hanka otwiera. Wchodzi Kazio. Wita się z paniami. Do Adama uradowany):

Kazio: A! Adam. No gadaj co na uniwerku — jak ci idzie. Na przyszły

rok to i ja już tam będę. Żeby tylko z tą budą jaknajprędzej skończyć.

Hanka: Panie Kaziu, a na co pan pójdzie?

Kazio: Niech pani zgadnie. Coś tak ściśle związanego z życiem i człowiekiem.

Hanka: To już doprawdy ne wiem czy medycyna, czy literatura.

Kazio: *(oburzony)* Ależ panno Hanko — przecież prawo to jedyny wydział żywy — reszta to martwota, krajać trupy czy zastanawiać się nad genezą Kordjana, brrr...

(Otwierają się lewe drzwi. Wchodzi Cesia. Uczesana, a raczej rozczochrana przez „domową ondulację", na sukience do kolan wyraźnie się odcina dół przyszyty z ciemniejszego materjału. Chwila ciszy. Cesia z głową podniesioną przechodzi przez pokój, idzie do kanapki).

Cesia: Dzień dobry Hedvige. Witam panów.

p. Adam: *(w tym samym tonie)* Witamy panią.

Cesia: Ależ proszę siadać *(wszyscy siadają, p. Krystyna zbliża się do Jurka, który się wsunął do pokoju i stanął koło bufetu i coś mu szepce do ucha — potem wychodzą. Po chwili Jurek wnosi tacę ze szklankami i stawia na bufecie. Potem przynosi talerzyki i t. d.).*

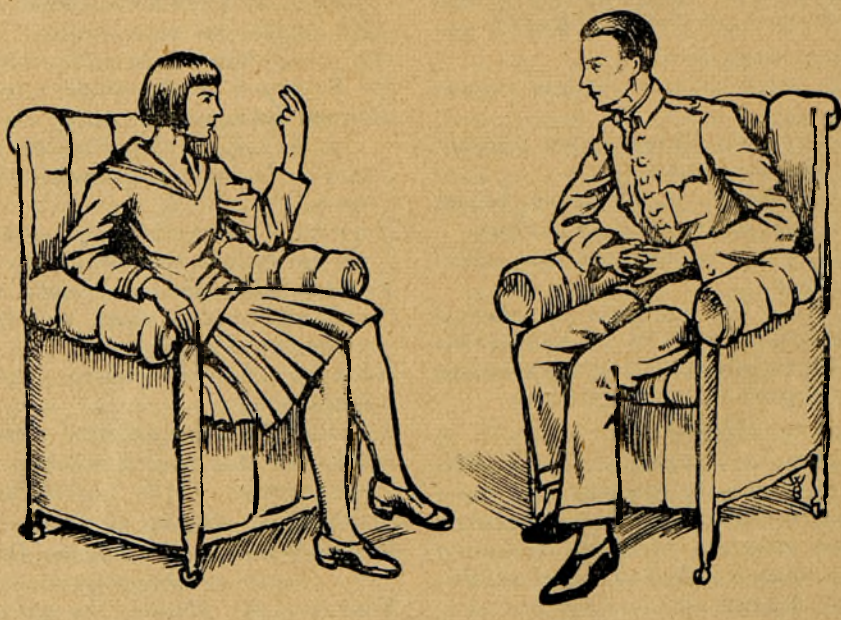
Cesia: *(do p. Adama):* Pan ze stolicy. Ach, jak zazdroszczę. Zupełnie inne tętno życia niż tu na prowincji. Pan nie ma pojęcia, jakie to życie tutaj jest straszne. Ciągle te same twarze i ta buda brrr. Dusza może zaniknąć w człowieku.

p. Adam: Zapewne, zapewne... *(na stronie do Kazika)* słuchaj, ja jej ten ogon udepczę. Takiej stwory w stolicy nie spotkać *(dalej rozmawiają półgłosem).*

Józio: *(do Cesi)* Dusza — co pani mówi o duszy. Kobiety przecież nie mają duszy.

Cesia: Ależ panie Józiu, jak można tak mówić. To mężczyźni nie mają duszy.

Józio: *(deklamując):*
Kobieto, puchu marny
Ty wietrzna istoto
Postaci twojej zazdroszczą anieli
(deklamuje coraz głośniej, staje, macha



To mężczyźni nie mają duszy!

rękoma)
a gorszą jesteś niżeli, niżeli....

Cesia: (przerywając ciągle Józiowi) Ależ panie Józiu, jak można — zapewniam pana, że kobieta ma duszę.

p. Adam: O co chodzi.

Cesia: Ach panie Adamie, p. Józio twierdzi, że kobiety nie mają duszy, przecież to okropne. To są przestarzałe poglądy. Niech pan sam powie. Przecież kobieta....

(Hanka, która nalała do szklanek lemoniady, podchodzi i częstuje. Jurek roznosi pączki. Cesia w zacietrzewieniu nie widzi ich i trąca tacę ze szklankami, które się na nią wywracają).

Cesia: Ach! *(powstaje chwilowe zamieszanie jeden z chłopców trąca Jurka, który w przestrachu przyciska talerz z pączkami do piersi, gniotąc pączki, potem stoi na pierwszym planie z boku i stara się z otrzymanych okruchów pozlepiać zpowrotem pączki).*

Cesia: Moja sukienka — Hanko jak mogłaś!

Hanka: Bardzo cię przepraszam ale sama trąciłaś.

p. Adam: Tak pani zawzięcie tej biednej duszy broniła.

Cesia: I co ja teraz zrobię.

Hanka: Idź włóż bluzeczkę, przecież ci wyprasowałam.

Cesia: To nie elegancko, niemodnie.

Hanka: Ale my wszystkie tak jesteśmy ubrane.

(Jurek, skończywszy z pączkami, zaczął zaglądać do słoja po lemoniadę. Najpierw stara się łyżeczką wyskrobać cukier, potem wsadza do słoja całą rękę, potem głowę, ale wsadziwszy głowę nie może jej wyjąć, wreszcie staje wyprostowany i stara się słój ściągnąć do góry).

Cesia: Nieznośna z tem jesteś *(wzrusza ramionami i odwraca się do Hanki zaczepiając sukienkę o brzeg łóżka. Słychać trzask, dół sukienki się urywa).*

Cesia: O ooo!

Hanka: (spostrzega Jurka) O-o-o — Jurek.

Wszyscy: O-O! Ha-ha-ha *(grupują się wszyscy dookoła Jurka ze słojem na głowie i Cesi w podartej sukni. Śmieją się).*

Hanka: Chodź Jurku ja ci pomogę. Chodź Cesiu ja ci dam inną sukienkę. — Wszystkich przepraszam — zaraz wrócimy *(wychodzą).*

p. Adam: To dobra dziewczynka ta Hanka.

Jadzia: Ale się Jurkowi stało ha ha ha.

Kazio: I Cesi! *(śmieją się).*

(Wchodzi Cesia przebrana, Jurek i Hanka).

p. Adam: (do Cesi) Panno Cesiu — dużo pani milej w tej sukience.

Cesia: Ach już nigdy nie będę chciała tak nadzwyczajnie się ubierać.

Jurek: Ja już nigdy głowy do garnka nie wsadzę.

Hanka: A teraz bawmy się *(siada gra, wszyscy tańczą)...*

A. S.

TY MI POWIADASZ...

Ty mi powiadasz,
dziewczyno,
ty mi powiadasz —
że z oczu łezki Ci płyną,
ilekroć szarą godziną
przy oknie siadasz!...

A ja ci mówię,
dziewczyno,
kochanie moje:
wystarczy rozśmiać się ino,
a ból i troski gdzieś zginą;
oschną łez zdroje!...

Tylko ten uśmiech,
dziewczyno —
Ma oczywiście,
być twą rozkoszą jedyną
nie tylko szarą godziną,
ale — Wieczyście!...

E. Kłoniecki.

WYSTAWA STYKÓW



A. Styka
Kolosy Memnona w czasie powodzi

Ciekawe wrażenie robi wystawa trzech Styków, którzy poza krewieństwem rodzinnem daleko odbiegają tematem i charakterem prac swoich.

Jan Styka w początkowych kompozycjach przedstawia szkołę monachijską; przypomina się również i mistrz jej Matejko. Wybitne cechy Matejkowskie noszą na sobie postacie z obrazu historycznego „Przysięga Witolda".

Nastrój, gest, akcesorja są wspólne wszystkim obrazom historycznym Matejki. Mniej patosu królewskiego niż u mistrza, ale zato więcej perspektywy powietrznej. U Jana Styki uderza wielki rozmach do komponowania panoram. Niektóre projekty do nich można było oglądać na zbiorowej wystawie, jak szkice do panoramy „racławickiej", „Golgoty", „Bem w Siedmiogrodzie". Imię Jana Styki jest znane i cenione nietylko w Polsce ale i zagranicą, zwłaszcza we Francji i we Włoszech dla pięknych i licznych ilustracyj do „Odyssei" — Homera, „Quo Vadis" — Sienkiewicza i innych obrazów, do których temat czerpał ze świata starożytnego. Portrety Jana, zwłaszcza kobiece są pełne subtelności, a męskie typy posiadają dużo siły i wyrazu. Wspaniale ujęta jest postać Tołstoja, lub „Tołstój, piszący manifest w Jasnej Polanie" — (otoczony widmami i ofiarami swego kraju.

Koloryt obrazów nadzwyczaj spokojny. Dużą inteligencję wykazuje odpowiedni dobór barw w obrazach symbolicznych. Widzimy to np. w obrazie zatytułowanym, „Miłość i nienawiść". Całe tłumy żydów na szczycie Kalwarji pogrąża artysta w tajemniczym mrozie zimnych szarych, zielonych tonów, co w zespole z lasem podniesionych pięści przejmuje widza dreszczem. Jakżeż kojąco działa symbol miłości w postaci Magdaleny, przytulonej do Ukrzyżowanego; wydaje się, jakoby z płaszcza jej złotych włosów miał wybuchnąć pożar miłości, dla rozpalenia olbrzymich obszarów opanowanych nienawiścią.

Pewną słabostką szlachetną było u Jana zamiłowanie do psów — toteż wszędzie, gdzie się tylko da wysuwa je na pierwszy plan. A więc w „Przysiędze Witolda", dominują charty — „towarzyszą one i Zamojskiemu pod Pskowem" itd. ze „świetnego autoportretu artysty strzyże uszami pełen ognia wilczur". Nawet Tadeuszowi pozuje do portretu ze słodkim jamnikiem. Śliczną główkę psiaka przyciska artysta do twarzy, jakby najwierniejszego przyjaciela! — Może miał rację?

Tadeusz Styka różni się bardzo tematem od Jana, zwłaszcza późniejsze jego prace skupiają się prawie wyłącznie



A. Styka *W górnym Egipcie*

około portretów kobiecych. Są to przeważnie typy północno anglo-saskie, pokrewne Axentowiczowskim damom wykwintnych salonów, z równie wyszukanem udrapowaniem bogatych materyj i futer, które wspaniale oddaje. Nie brak jednak pretensjonalności na wyszminkowanych buziach.

Z jakąż brawurą, potęgą rysunku i kolorytu odcina się od swych poprzedników Adam Styka. Zimnym, chorobliwie bladym damom, przeciwstawia realizm życia afrykańskiego. Spalone postacie żarem południowego słońca rzucone na brzegu szafirowego morza lub rzeki Nilu. Wre tu pełnia życia, ruchliwość, temperament — w najpospolitszych czynnościach życia codziennego.

Najczęstszym tematem czerpanie wody. Raz dzieciaki pyzate, igrają przy olbrzymiem naczyniu, to znów niewiasta dźwiga dzban na głowie, albo też para osiołków ciągnie baryłkę z wodą.

Ze wszystkich postaci tryska humor, werwa, gorącość temperamentu. Dzieciaki przeważnie z roześmianemi buziami. Prześliczną symfonję barw tworzy każda kompozycja Adama. Sceny z życia takie pospolite, typy niemal brutalne — boćto są spalenizną zniekształcone rysy — a jednak artysta przetwarza wszystko w cud barwnych wizyj. Jakże wspaniale wywiązał się A. Styka z powyższego tematu! Na tle głęboko szafirowej rzeki rozprowadzonej aż do najsubtelniejszych ciepłych tonów liljowych zarysowanego w dali miasta, wynurza się sylweta ogorzałej „Egipcjanki z dzbanem" na głowie. Postać lekko wygięta w kształcie litery „S" przypomina jakieś naczynie z wypalanej terracoty. Od podstawy ciemniejszej, tony coraz bardziej rozjaśniają się ku górze i kończą refleksem zachodzącego słońca na dzbanie. Tę harmonję barw przeprowadza niezwykły kolorysta we wszystkich kompozycjach. Tło i zawój sudańczyka odcina się silnym kontrastem śnieżnych barw od czarnej twarzy.

„Handlarze pomarańcz" za bramą Bab-El-Khemis tak są owiami powietrzem i specjalnem tchnieniem życiowem, że widz miałby ochotę sięgnąć po owoce do koszyka. Zwierzęta Adama są pełne jakiegoś sympatycznego wyrazu. Osły smutne, zmęczone pracą pod upalnem niebem, bawoły oddychają dopiero w chłodnem morzu.

U Adama Styki modli się nietylko arab, ale i zwierzę nierozumne. Postać wielbłąda z głową wyciągniętą ku niebu ma tyle majestatu w sobie, że hypnotyzuje przechodnia i każe mu klęknąć przed jakąś potęgą, w którą zatopiło źrenice zwierzę południa. Wielbłąd rozwartą paszczą woła do modlitwy. Trudno wymieniać wszystkie nazwy kompozycyj z „nosiwodami, Arabami, osiołkami, pochodami wielbłądów" i t. p. Wszystkie one są tak wspaniałe w rysunku, charakterystyce postaci i akcji, przytem tak potężne żarem barw południowych, że się odnosi wrażenie jakby się rozszalały dwie potęgi żywiołowe: ogień i woda.

M. Ir.

Z POLSKI I ZE ŚWIATA

Ojciec święty Pius XI. wydał w grudniu ub. roku Encyklikę o małżeństwie, której doniosłość moralną i społeczną podniósł cały świat cywilizowany. Ciekawe są głosy uznania ze strony nie katolików, a nawet i nie chrześcijan. Angielska gazeta „The People" pisze: „Nie możemy odmówić Rzymowi podziwu z powodu zdecydowanego rozstrzygania „tak" i „nie" we wszystkich sprawach spornych. Nie szuka on zręcznych kompromisów: dla swoich synów i córek, jest stanowczym kierownikiem. Nie mamy obowiązków względem Watykanu, wiemy jednak, że świat potrzebuje dziś silnego, niewzruszonego kierownictwa. Z tego też punktu widzenia dobrze jest, że z siedziby chrześcijaństwa rzucony został na świat taki zdecydowany, rozkazujący ton".

Nadrabin Herbert Goldstein w Nowym

Jorku wygłosił przez radjo odczyt o Encyklice, wyrażając się o niej z wielkiem uznaniem.

Niewolnictwo w XX. wieku. Do niedawna nie było ogólnie wiadomem, że do dziś dnia kwitnie niewolnictwo w Afryce. Ma to miejsce w Liberji. Nazwę tę nosi republika, założona w 1822 r. przez murzynów amerykańskich, wysłanych tam na koszt Stanów Zjednoczonych. Ci przybysze, ogładzeni polotem cywilizacji, opanowali swych współplemieńców i uczynili z nich niewolników, zaganianych do przymusowych prac na plantacjach „panów" tak czarnych, jak i białych, którzy też niestety, nie wzgardzili tanim robotnikiem. Hańbiącą tę sprawę, wykrytą przez jedną firmę amerykańską, rozpatrywano na ostatniej sesji Ligi Narodów. Delegat Liberji, który też do L. N. należy, obiecał zniesienie tego barbarzyńskiego ustroju społecznego, prezydent Liberji ustąpił z zajmowanego stanowiska — i niewolnictwo w Afryce ustanie.

Pojawiło się ono za to w Europie. Nowa organizacja pracy w Sowietach nie jest niczem innem jak typowem niewolnictwem. Szczegóły tej organizacji wykryła i ogłosiła Anglja.

* * *

Koła koleżeńskie maturzystek zorganizowały w Warszawie szereg odczytów, omawiających prace zawodowe którym mogą poświęcać się kobiety. Omawiano już zawód lekarski, dentystyczny, pielęgniarski. Temu ostatniemu poświęcić się można nie mając matury, gdyż do szkół dla pielęgniarek przyjmują kandydatki, które ukończyły 6 klas gimn. Wymagany jest wiek: 18-30 lat, dobre zdrowie, prawdziwe zamiłowanie i — wysoki poziom moralny, którego dowody składa się przez 2½ lat nauki i wspólnego życia w internacie. Jest to punkt równie ważny jak egzamina naukowe. Pielęgniarstwo rozwija się w dwóch kierunkach: szpitalnym, obejmującym bezpośrednią opiekę nad chorymi i społecznym, dążącym do ogólnego podniesienia poziomu hygjeny i kultury życia. W Polsce mamy 5 szkół pielęgniarstwa: 3 w Warszawie, 1 w Krakowie, i 1 w Poznaniu.

Bezrobocie szerzy się w świecie w sposób zatrważający, a zasiłki udzielane bezrobotnym nie rozwiązują kwestji, lecz prowadzą nieraz do wybredzania w pracy. W Anglji i Ameryce brak służby domowej, a pracy tej bezrobotni przyjmować nie chcą. **Minister pracy w Anglji miss Bonfield** — mimo silnego sprzeciwu wstrzymał zasiłki pieniężne tym wszystkim, którzy ofiarowanej pracy domowej nie przyjmą, z całą energją dowodząc, że wartość obywatelska może polegać — jeśli kto chce tego — na wolności próżnowania, ale nie może polegać na przymuszaniu wolnych obywateli do utrzymywania ze swych podatków, tych, co pracować nie chcą.

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE



14 listopada ub. roku umarła kochana koleżanka nasza Joasia Młynkówna. W chwili śmierci widziała Najświętszą Panienkę z maleńkim Jezusem na ręku. To największa nagroda dla naszej Joasi, która cierpiała cicho i w ciężkiej chorobie pogodnie, z radością mówiła o zbliżającej się śmierci.

Kochałyśmy ją bardzo, ale nie rozumiałyśmy jej. Była dla nas za dobra, za święta. Gdy siedziała spokojnie na swem miejscu, nie zwracając niczyjej na siebie uwagi, zastanawiałam się nieraz nad tem, o czem też może myśleć ta cicha dobra dziewczynka. Dobrą była bardzo. Nie odmówiła żadnej przysługi, to też wykorzystywano ją trochę, ale tem więcej kochano. W czasie wakacyj w domu, w Sierczy, chodziła często do robotników, zajętych pracą

i w rozmowach z nimi siała ziarna wiedzy i wiary. Cenili ją bardzo i nazywali „świętą Joasią“. Swe uznanie dla niej okazali tłumnem zebraniem się na jej pogrzeb.

My, jej koleżanki, ze sercem ściśniętem bólem, chcemy choć temi słowy dać wyraz naszej szczerej koleżeńskiej przyjaźni i pamięci.

IV. klasa gimn. SS. Urszulanek w Rybniku.

OD REDAKCJI

Czy redakcja lubi otrzymywać listy od Czytelniczek „Dziś i Jutro“? — To zależy. Bywają takie listy, które czyta się z wielkiem zainteresowaniem i radością. Czasem zdarzą się mniej zajmujące, ale rzadko, a jak przyjmie się taki n. p. list, to osądźcie same. Przytaczam prawie cały dosłownie:

„......W „Dziś i Jutro“ czytywałam jedynie powieści, czasem wiersze Zegadłowicza, które bardzo lubię, czasem artykuły z zakresu muzyki, rozwiązywałam łamigłówki. Aż wstydzę się, gdy pomyślę, że czytałam tak niedbale „Dziś i Jutro“, które znam od pierwszego roku wydania. Niedawno musiałam zrobić porządek na półce z czasopismami, gdzie znajdował się również i rocznik „Dziś i Jutro“. Zaczęłam go przeglądać: ze zdziwieniem ujrzałam ciekawe artykuły, których dotąd nie czytałam. Gdy miałam wolną chwilę, zaczęłam się w nie wgłębiać. Rezultat czytania był ten, że polubiłam tak bardzo pismo, które uważałam za ciężkie i nudne. Teraz sąd mój jest wprost przeciwny. Bardzo mi się podobają artykuły ze sztuki (oby ich było jak najwięcej), które bardzo kształcą, artykuły o muzyce, wiersze Zegadłowicza, niektóre Kłonieckiego, recenzje książek, wiadomości ze świata katolickiego, informacje o sprawach kobiecych, o stanowisku zajmowanem przez nie, jednem słowem — wszystko. Jak mile przemawia do Czytelnika skromna, lecz estetyczna forma zewnętrzna. Lecz najbardziej mnie ujął duch, którym jest przesiąknięte całe pismo. Nie można go ująć w słowach, lecz to wiem, że czuję pewną jasność w duszy, gdy przeczytam te karty, skąd wionie duch Chrystusowy, katolicki. Dlatego pokonałam wrodzoną pewną nieśmiałość i „wstręt do pióra“, by nagrodzić „Dziś i Jutru“ zaniedbanie i mylny sąd, oraz opisać nawrócenie doń...“.

O błogosławione porządki! **Janko**, poradź koleżankom i znajomym przejrzenie półeczek z czasopismami! Postaraj się jednak, by tam też były, jeśli nie roczniki, to chociaż egzemplarze pojedyńcze „Dziś i Jutro“. — Mozemy Ci przesłać trochę dawnych numerów dla robienia w nich takich odkryć.

Janko. „Gazdowstwo“ dobre, szkoda, że spóźnione. Przyślij coś jeszcze lepszego!

A powiedzcież same, czy miło czyta się list taki w którym **Baśka** donosi, że jest „bajecznie szczęśliwa“, że jej pragnieniem jest siać śmiech dookoła „nie ten pusty śmiech lalek, ale tę pogodę, której uczył Chrystus“ a ponieważ „chcąc dawać słońce — trzeba je mieć w sobie, więc trzeba się nieraz dobrze siebie zaprzeć, by mieć zawsze uśmiech na ustach“. Siej, Baśko, radość i śmiech i przyślij nam te wesołe Twoje wierszyki. Nadesłane obecnie dobre, ale muszą tymczasem leżeć.

Halinko, skoro i Tobie „od lat pięciu „Dziś i Jutro“ przemawia do serca i duszy“ przemóż i Ty swoją nieśmiałość i pisuj częściej. Ostatni Twój list był bardzo miły. Podaj bliższe szczegóły, a przedewszystkiem nazwisko tej koleżanki.

Wandziu K. Za list dzięki. Wcale nie nudny. Mnie się też zdaje, że „Lotniczka“ najlepsza z nadesłanych prób, ale nie ręczę, bo nie mogłam doczytać... oj, to pismo!

Reniu G., ja też sądzę, że zbytnie analizowanie utworów poetyckich zaciera ich piękno. Trzeba jednak strzec się krańcowości i w obawie „zatarcia“ piękna nie narazić się na niedojrzenie go, dla braku zrozumienia.

Marysiu Stod. Za list dzięki. Owszem, przysyłaj łamigłówki własnego układu. Konkurs ogłoszony w N-rze styczniowym polega na daniu odpowiedzi na pytanie: „C z e m c h c ę b y ć“? — gdy dorosnę, gdy szkołę skończę. Możesz jeszcze odpowiedź swoją nadesłać, bo termin rozstrzygnięcia konkursu przesuwamy do 10 marca.

Hanko B. Ładne przesłałaś myśli. Zobaczymy co wyniknie z porównania prac.

UBÓSTWO PRZYBORÓW KOŚCIELNYCH

Pawłówka w listopadzie.

Poszłam odwiedzać Go tym razem w zakrystji. Otwieramy z proboszczem szuflady i przeglądamy szaty liturgiczne. — Niech Pani patrzy. Patrzę rzeczywiście i widzę. Wełna czy bawełna, na to nie będę przysięgać, w każdym razie biała w czarną kratkę. Mówią na to popularnie „pepitka". Brzegiem fioletowy pas jedwabiu i w środku fioletowe półkole. Co to jest? — To fioletowa kapa — proszę Pani.

Ach tak, fioletowa kapa, to jasne! A tu obok to co?

— To czarny ornat. Rzeczywiście, jest czarny ornat. Nawet z trzech materyj złożony. Jedna — to aksamit — tak, aksamit, na którym rosną odosobnione kępki puszku — reszta to ten spód wydarty. Druga — to wygląda jak podszewka adamaszkowa z pod czyjegoś futra. Oczywiście wygląda tylko. A ta trzecia to może klot, może satyna, z pewnością pozostałość ze starej sukni. To się nazywa czarny ornat.

— A czarna kapa? — Niema. — A czerwona? — Niema. — A ornat zielony? — Niema. A to monstrancja do procesji na Boże Ciało. Darował mi ją ksiądz sąsiad. Tak, to jest monstrancja do procesji na Boże Ciało. Wytarta, pokrzywiona blacha, ani śladu złoceń lub srebrzeń. Nóżka, to ongiś figurka Matki Boskiej. Tylko, że się ułamała główka, więc słońce monstrancji przylutowano krzywo do szyjki figurki.

Pan Jezus w nędzy... Nie mam na to innych słów. Widziałam na własne oczy — więc piszę. Piszę do pań, które mają satyny, aksamity, koronki. Piszę do panów, którzy mają auta i dywidendy. Piszę do księży wikarych, proboszczów i prałatów, którzy słusznie wyranżerowali w swych zakrystjach nieco starsze kapy, ornaty, monstrancje, bo w Warszawie, Poznaniu, Lublinie, Gnieźnie a nawet gdzieś na wsi, grzechem byłoby celebrować w podniszczonych już aparatach. Grzechem i zgorszeniem, niedbalstwem, wprost nie do pomyślenia, podczas gdy na Kresach wschodnich... Piszę do nieprzeliczonych serc ludzi, kochających Pana Jezusa i kochających Polskę. Do tych, którzy rozumieją, że wprawdzie nie ornat i monstrancja są istotą kultu katolickiego ale... wszystko ma swoje granice.

Pan Jezus w nędzy? I błagam: dajcie co macie! Nie namyślajcie się, czy nie za stare, nie zanadto zniszczone, wprost już niegodne na służbę Panu Jezusowi. Wszystko co dacie, będzie zbytkowne w porównaniu do tej „pepity" przy fioletowej kapie, do tych osamotnionych puszków w aksamicie czarnego ornatu, do tej pokrzywionej monstrancji.

Mogą być szaty liturgiczne lub przybory do nich, mogą być naczynia święte, mogą być pieniądze (te ostatnie nieodzownie też potrzebne na opłacanie przesyłek). Większe datki i wdowie grosze.

Pan Jezus w nędzy — a wraz z Nim w nędzy są całe Kresy wschodnie. Obok zasobnych cerkwi prawosławnych, obok agitacji bolszewickiej, obok nienawiści do tego — co polskie. Błagam — dajcie co kto ma — zaraz! Dary wysyłać można pod następującemi adresami.

Dla Polesia: p. Marja Skirmunt, Mołodów, p. Motyl, woj. poleskie.

Dla Wołynia: 1) p. Władysława Brzozowska, Żurne, woj. wołyńskie; 2) ks. prałat Tokarzewski, Łuck, Kurja Biskupia, woj. wołyńskie.

Dla Nowogrodczyzny: p. Anna Grudzińska, Sworotwa Wielka, p. Mołczadź, woj. nowogrodzkie.

Dla Wileńszczyzny: Katolicki Związek Polek (Sekcja Kościołów Kresowych, Wilno, ul. Mickiewicza 19.

Dla kościołów kresowych wogóle: 1) Towarzystwo Opieki nad Kresami, Warszawa, ul. Kredytowa 16; 2) Katolickie Związek Polek (Sekcja Kościłów Kresowych), Warszawa, ul. Krak. Przedmieście 36; 3) p. Kazimiera Sokolnicka, Poznań, ul. Ratajczaka 33. W Krakowie: Arcybractwo Naj. Sakramentu, Klasztor SS. Felicjanek na Smoleńsku.

Wszystkie redakcje proszę gorąco dla dobra sprawy o przedrukowanie tego artykułu.

Felicja Żurowska.

Pocztowa 15 (Zjednoczenie Młodzieży), Poznań.

MOJE WRAŻENIA Z WYSTAWY STYKÓW

Pierwsze wrażenie jakiego doznałam na widok obrazów Jana Styki, to było uczucie odpoczynku. Jest się pewnym, że twarze będą symetryczne, a w kwiecie, o szypułce uwieszonej na nitce nie będzie się musiało domyślać obrazu nietrwałości ideałów ludzkich. Nad kilkoma symetrycznie oddanemi twarzami nie musi się człowiek męczyć, aby doszukać się w nich symfonji uczuć. W obrazach Jana Styki niema literatury, którą tak często znaleść można u malarzy ostatniej doby. — Za tematy obrazów Jan Styka obrał przeważnie fakty historyczne. W dużej mierze chciał być Matejką. — Ale tej siły, tej prawdziwości nie osiągnął. Np. taki obraz jak „Przysięga Witolda". — Z szarego kolorytu tła, z pośród posępnych twarzy rycerzy, wyłania się postać piętnastoletniego pacholęcia na koniu. Na widok płonącego Kowna poprzysięga ks. Witold przed ojcem swoim Kiejstutem zemstę na Krzyżakach. Jednak miasto płonące, jest nie groźne, postać księcia — wątła niknie wśród wspaniałych koni, wielkich rycerzy. Wyraz twarzy księcia dziwnie mało mówi. Może zresztą niezrozumienie nastroju tego obrazu płynie stąd, że my, dzieci XX. wieku żądamy wiele — mniej umiemy oddać — a najmniej umiemy odczuć.

Z obrazów J. Styki wrażenie wywarły na mnie tylko dwa: Tołstoj, piszący manifest w Jasnej Polanie w 1908 r. i Przemienienie Pańskie.

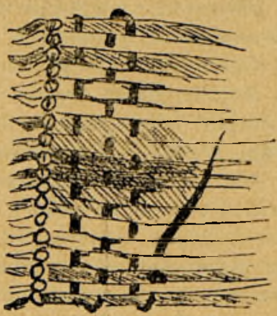
Portret Tołstoja, to obraz duży w kolorycie stonowany. Na pierwszym planie Tołstoj piszący manifest, dalej widma i ofiary jego kraju. Od tych widm wieje grozą, nieszczęściem i pohańbieniem. Od postaci Tołstoja idzie jakaś moc, siła zakrzepła w postaci tego starca. Obraz robi wrażenie czegoś niesamowitego, a równocześnie wielkiego i niepojętego, jest on nietylko portretem wieszcza Rosji, ale portretem jej samej. — Na przeciwległej ścianie sali wisi obraz przedstawiający Przemienienie. Twarz Chrystusa szara, ziemista, włosy i zarost rudy, oczy, jak i cała głowa wzniesione w górę. W pierwszej chwili wydawał mi się ten Chrystus, z twarzą okoloną rudym włosem jakimś fetyszem, a nie Bogiem chrześcijan. Dopiero spojrzawszy na oczy zwrócone w niebo i niebo mające w sobie, na usta o opuszczonych kątach, smutne, a miłosierne, na rękę wzniesioną jakby dla uspokojenia morza namiętności zrozumiałam, że takim, a nie innym musiał być Bóg Pokoju i Dobra, kiedy zszedł na ziemię. Artysta nadał twarzy Chrystusowej wyraz na jaki tylko mógł się zdobyć jego artyzm: Boga, Mistrza i Człowieka.

Następne sale to Tadeusz i Adam Stykowie. Tadeusz Styka lubuje się w portretach. Gdzie spojrzysz uśmiecha się do ciebie jakaś piękna twarz. Światło lubi rzucać artysta z góry, rozszczepia je na jasnych lub ciemnych włosach swoich modeli, i każe mu się skrzyć w ich ogromnych oczach. Ale duszę, której nie mogłam znaleść ni w oczach, ni w uśmiechu, znalazłam dopiero w rękach. Wytworne, piękne ręce kobiet, którym jest w życiu za dobrze, te ręce są nerwowe, szczupłe, bo nieprzyzwyczajone do dźwigania innych ciężarów, jak tylko drogocennych kamieni. Nic nie zatamowało ich pięknej, estetycznej linji. — Wymarzonym kontrastem tych wytwornych, stonowanych portretów są obrazy Adama Styki. Zapominamy na chwilę że istnieje Zachód z swoją cywilizacją. a oblani słońcem Egiptu podziwiamy człowieka — południa. I mamy go gdzie podziwiać, bo aż na 45 obrazach. Dla mnie szablonem stał się u Adama Styki ten południowy temat. Przytem precyzyjność w wykonaniu każdego szczegółu sprawia, że obrazy te robią na mnie wrażenie fotografji. Jednak realizm i prawdziwość ich jest wielka. Patrząc na „Nosiwodę z bykami", czujemy cały jego wysiłek, dotknąć chcielibyśmy niebieskiej wody, przez którą przechodzi ten starzec pochylony. Gdy spojrzymy na „Egipcjankę", zdaje się nam, że zejdzie z obrazu ta roześmiana dziewczyna i przeplatając gamami śmiechu opowie nam o swojem zadowoleniu, o słońcu, które pada na nią i przesyca każdy pierścień jej włosów. — Za tę żywość, za to słońce, w którem się kąpie każdy obraz Adama Styki — przebaczam mu Jego szablon i fotograficzną precyzyjność.

Opuszczając galerję, musiałam jeszcze raz przejść koło „Chrystusa“ Jana Styki. Wtedy przemknęła mi jedna myśl; minęli książęta, jenerały, miną wytworne i piękne kobiety, zniknie słońce i pustynie Egiptu, tylko On pozostanie, On z temi dobrotliwemi oczyma zwróconemi w niebo i niebo mającemi w sobie.

W. Nelkenówna, ucz. VIII. kl. gimn.

ROBOTY RĘCZNE



Jak możemy sobie sami pasek zrobić.

Zaopatrzyć się w 20—30 metrów jedwabnego szutasiu w różnych odcieniach, pociąć na kawałki odpowiadające długości paska (1·20—1·50 m.) i gwoździkami przytwierdzić poszczególne pasemka szutasiu do dwóch końców takiej samej długości deseczki. Pasemka powinny być przytwierdzone blisko siebie i dosyć napięte. Teraz bierzemy inny dłuższy kawałek szutasiu i zaczynamy przeplatać (rycina) uważając by się szutaś nie skręcał. Skoro wypleciemy cały pasek zakończamy rogową lub celulojdową klamerką. Sztukujemy szutaś zawsze igłą zaszywając go z lewej strony paska. Piękno paska zależy od doboru kolorów szutasiu. Ładnie wychodzi ciemniejszy środek, na jasnem tle, obramowany dwoma ciemniejszemi pasmami. Ale to rzecz osobistego gustu. Klamerkę dopasować do przeważającego odcienia. Nasze młode „artystki“ przy dobrej woli olśnią napewno koleżanki barwnym oryginalnym, malowniczym paseczkiem.

ŁAMIGŁÓWKI

ROZSYPANKA.

(ułożył H. B.).

Z podanych zgłosek ułożyć wyjątek znanego wiersza, podać tytuł utworu i nazwisko autora.

Lecz i a jak za przed kie ka kli na dy mie nam ro trze nie niech dem ba przez ży nio na Bo wi są śmierć ga nie o i rzu tra świa dą ca cą ty po ne na ka ko na dzie ga le sza i niec i niec.

TREŚĆ Nr. 6.

WARUNKI PRENUMERATY:

Rocznie 8 zł. — Cena pojedyńczego egzemplarza 80 gr. — W Ameryce prenumerata roczna wynosi $1^1/_2$ dolara. Konto P. K. O. 404.930.

Adres Redakcji: Kraków, ulica Starowiślna 11.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor:

Julja Felicja Bronikowska.

Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie

DRUKARNIA
POLSKA-KRAKOW